ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Marca | Nr 11. | Roku 1844.

PORTRET.

»Czy w historyi pani Hudchinson czytałeś owę przygodę pewnego mężczyzny, który zakochawszy się w portrecie kobiéty, z téj miłości umarł? Posłuchajże teraz i mnie: i ja zakochałem się w portrecie, ale w *jakim i jak!*

Właśnieco otworzono w Londynie w pałacu Sommerset wystawę obrazów. Przez trzy dni cisnęła się tam liczna publiczność; przez ciekawość poszedłem i ja. Zaledwie wszedłem i kilka kroków w salę postąpiłem, stanąłem jak wryty — jak gdyby czarodziejską mocą do ziemi przykuty, aż mię Armstrong mój przyjaciel, zdziwiony zapytał:

»Cóż ci jest? W cóżeś tak mocno się wpatrzył, że stoisz jak strętwiały?«

Słyszałem dobrze, co mówił, ale nie mogłem odpowiedzieć; zdawało mi się, że mi mowę odjęło.

»Czyś oszalał?« szepnął mi zniecierpliwiony; »miéjże rozum! Zwrócisz oczy na siebie.«

»Czy znasz oryginał tego portretu?« odrzekłem, przyszedłszy po chwili do siebie.

»Nie znam.«

»Weź spis obrazów i szukaj numeru 128.«

»Numer 128,« czytał uroczyście Armstrong, »Portret przewielebnego księdza Johna Gastinburg, kapłana z ....«

»Pomyliłem się,« rzekłem spłonąwszy niecierpliwością i gniewem. »Nie numer 128, ale numer 138.«

»Zaraz, zaraz; numer 138.... portret młodéj damy, a dalej te głoski D. F. G. T... Esq.... Cóż u licha te hieroglify znaczyć mają?«

»Nie dręcz mię twojémi żartami...!— Jabym świat cały oddał, bylem tylko odgadnął imię artysty, który się témi tajemniczémi głoskami pisze.«

»Wprawdzie tylko cztéry litery początkowe, przecież rzecz nie tak łatwa do rozwiązania,« odpowiedział Armstrong, »ale uspokój się mój przyjacielu, pojutrze jesteśmy u celu. Biorę to na siebie, że ci nie tylko malarza, ale i oryginał tego portretu wyszukam.«

Mówiąc między nami, trzeba wiedzieć, że Armstrong jestto najpoczciwsza dusza pod słońcem, człowiek z sercem, które współczuciem płonie, jeźli dwoje dusz kochających się, swoją pomocą uszczęśliwić może; jest on prawdziwą opatrznością dla zakochanych przyjaciół swoich, i już nie raz był ich powiernikiem w tajemnicach miłośnych. Jeszcze przez chwil kilka stałem w portret wpatrzony. Wyobrażał on młodą dziéwczynę, która całą twarzą do widza obrócona, zdawała się z płótna wychodzić. Jéj włos był jasno-złocisty, oczy ciemno-błękitne, usta, jak ognik w pączku róży powionem wietrzyka rozetlony, piersi, ni pajęczą siatką lekko przesłonięte, kibić, jakby z wzoru niebianki najmisterniejszém dłótem wytoczona. Prawa ręka w rękawiczkę ubrana, spoczywała na lewéj, obnażonéj, a że nie miała obrączki na palcu, więc była wolną, niezamężną!

»Pójdźmyż już,« rzekł Amstrong wziąwszy mnie za ramię. »Już czwarta z południa, niebawem zamkną salę.«

»Już czwarta!« smutno zawołałem, »Wiészże nazwisko malarza?«

»Dotąd nie wiém,« ale postaram się oto. Pójdźmy.«

To rzekłszy wziął mię pod ramię i wyprowadził jak obłąkanego z sali.

Naprzeciw tego portretu, co tak silne na mnie zrobił wrażenie, stała fioletowym aksamitem obita kanapa. Od owego pamiętnego dla mnie dnia, siadywałem każdego

poranku na téj kanapie, i od dziesiątéj aż do czwartéj nie zdejmowałem oka z tego portretu, nie zważając bynajmniéj na szydercze spojrzenia, któremi mnie niejeden z przechodzących mierzył. Już od tygodnia nie opuszczałem mego stanowiska, siedziałem ciągle z wlepionym w obraz wzrokiem, aż razu jednego, spojrzawszy cokolwiek na bok, widzę jakiegoś sędziwego, ciemnéj twarzy, w czerni ubranego mężczyznę, który na mój widok zdawał się jakieś tajemne przytłumiać uczucia. Na jego ramieniu zwieszała się kobiéca postać w szérokim płaszczu, z zasłoną na twarzy. Przechodząc poprzedemnie westchnęła głęboko. To westchnienie jakąś niepojętą siłą wpadło do mojéj duszy i odbiło się w mojém sercu! Surowa twarz jéj towarzysza jeszcze groźniejszy przybrała wyraz; spieszno pociągnął ją za sobą — i zniknął przed mojémi oczyma! Jeszcze kilkakrotnie byłem na mojém stanowisku, ale te dwie nieznane mi osoby nie ukazały się oczom moim.

Nazajutrz byłem znowu w pałacu Sommerset. Armstrong zjawia się niespodzianie przedemną i mówi:

»Co ja widzę? Znowuś tu? Cóżto u licha, czyto już nie ma pięknych kobiét w Londynie! Przekonam cię, że są, tylko pójdź za mną.«

Wziął mnie za ramię i sprowadził na dół po schodach, ale moja dusza została przed portretem i wpatrywała się w cudne oblicze owéj uroczéj kobiéty. Poczciwy Armstrong chcąc mnie rozerwać, udał się ze mną do Regents-Parku. Przed nami szła jakaś dama.

»Spojrzyjno przyjacielu,« zawołał Amstrong, »co za kibić, co za nóżka!«

»O, tak, tak, widzę,« odrzekłem, nie myśląc o tém co mówiłem, »kobiéta jak wiele innych na świecie.«

»Ale dajże sobie powiedziéć, że ta przynajmniéj żyje, a tamta — twoja w galeryi obrazów... Jeszcze nie widzieliśmy jéj twarzy, ale chwilkę ciérpliwości... teraz — teraz — spojrzyj teraz!«

Podniosłem oczy. Ale jakież było moje zdziwienie! Widziałem przedemną żywy obraz, najdoskonalszy utwór stworzyciela, upromieniony blaskiem piękności, jaki kiedy marzyłem, cudowniejszy niż mi na płótnie się wydawał! Nasze spojrzenia spotkały się, moja nieznajoma spłonąwszy rumieńcem, stanęła i zdawała się mnie być zatrwożoną. Jakaś poważna kobiéta prowadziła ją pod ramię. Obie pospieszyły znaglonym krokiem. My udaliśmy się za niémi. Jakże mi wtedy serce biło! Przy końcu zwolniły obie kroku, a jakiś głos ozwał się z ubocza:

»Czy już panie ułatwiłyście sprawunki swoje?«

Byłto jakiś mężczyzna w kabryjolecie, który témi przemówił słowy; może ten sam, który młodéj damie na wystawie obrazów w pałacu Sommerset towarzyszył; tak mnie przynajmniéj szeptała tajemna zazdrość moja. Obie damy wsiadły do powozu, nieznajomy pognał konie pędem wiatru, a ja chciałem biédz za niémi.«

»Co robisz? opamiętaj się;« témi słowy zatrzymał mnie Armstrong.

»Puść mię,« krzyknąłem w boleści, «ja muszę ich dogonić!«

»Ale teraz pora obiadowa. Dziwaku! o godzinie 6téj masz być w Clapham. Teraz jest już piąta. Musisz się przebrać. Gdzież na to wszystko znajdziesz czasu. Twoja miłość kochany przyjacielu, jest osobliwszą, nie zgadza się z tegoczesnémi zwyczajami.«

Ja chcąc niechcąc, słucham jego rady, powracam do mego pomieszkania, przebiéram się i znajduję się przy stole w Clapham. Powszechna panowała wesołość, wina francuzkie płynęły obficie, gdyż nasz gospodnik niémi handlował, ale nic mnie rozerwać nie mogło. Wypiwszy herbatę, opuściłem towarzystwo i udałem się do mego pomieszkania. Noc przepędziłem bezsennie, czarodziejczy portret, a szczególniéj żywy obraz, unosił się przed wzrokiem moim. Kilka dni zeszło, bez śladu o mojéj nieznajoméj, nadaremnie zwidzałem teatra, koncerty. Mój przyjaciel Armstrong wyrzucał mi niedorzeczne moje postępowanie i był w saméj istocie na mnie zagniewany.

»Jesteś nieznośnym z twoją miłością,« ofuknął mnie razu jednego. »Muszę cię z téj choroby wyléczyć, chociażby homeopatycznie. Pójdziemy znowu szukać naszéj nieznajoméj. Zacznijmy naszę pielgrzymkę i wstąpmy do tego sklepu, potrzebuję rękawiczek.«

Wchodzimy i zastajemy dwie damy tyłem ku drzwiom wchodowym obrócone; jedna, starsza siedziała, druga młodsza przymierzała rękawiczki. Naprzeciw nich zawieszone było zwierciadło. Zaledwie ukazałem się w sklepie, młodsza spojrzawszy w lustro zemdlała. Żeto była moja nieznajoma, łatwo się domyślić.

Dama starsza, Armstrong i służba sklepowa przyskoczyli zemdlonéj w pomoc; ja w nadmiarze uczucia mego, nie mogłem się ruszyć z miejsca, nie mógłem słowa przemówić.

»Pójdźmy ztąd«, — rzekła do swojéj towarzyszki z głębokiém westchnieniem, gdy się upamiętała.

To westchnienie przypomniało się mojéj duszy; takie same westchnienie słyszałem w pałacu Sommerset na wystawie obrazów. Groźne spojrzenie mężczyzny, westchnienie, rumieniec, to nagłe zemdlenie, wszystkoto kazało mi pochlébiać, że ta nieznajoma cokolwiek mnie kocha.

Pobiegłem za damami. Mój przyjaciel wyszedł także ze sklepu. Nie spuszczałem oka z nieznajoméj, przy parku regenta udały się obie na prawo.

Wtedy ukazał się jakiś zarozumiały, wymuskany salonowiec; przyłożywszy lorynetkę do oka, szedł w bliskości za niemi, ja także przyspieszyłem kroku.

Modniś zbliżywszy się do mojéj nieznajoméj, zaczął jéj prawić jakieś niedorzeczności, chciał ją ująć za rękę, gdy ja ku niemu poskoczywszy, chwyciłem go za kołnierz. Wymuskany gładysz był sławnym bohaterem w sztuce boxerskiéj. Widząc, że bierze postawę wyzywającego na pięści, rzucam mu moję kartę, lecz on nie podniosłszy jéj, tak potężnym razem ugadza mnie w piersi, że padam bez zmysłów na ziemię.

Przyszedłszy do siebie, uczuwam na mojéj skroni dotknięcie miękkiéj, pieściwéj rączki. Otwiéram oczy i widzę — moję nieznajoma. Nowa siła wstępuje we mnie, zrywam się z sofy, na któréj mnie złożono, rzucam się do nóg mojéj bogini i wynurzam w najognistszych wyrazach moję oddawna żywioną miłość.

Ona słuchała mnie z uwagę, żadnego słowa nie tracąc z pamięci, a w końcu rzekła głosem smutnym:

»Nie zbadane są wyroki nieba!... Zapomnij o mnie... o, ileż ja cierpię!«

»Dłużéj tu zostać nie możemy,« ozwała się stara dama z przybocznego pokoju.

Na te słowa powstała moja nieznajoma udając się ku drzwiom. Chciałem ją zatrzymać i zapytałem: »Czemuż pani cierpisz?«

»Żem pana widziała.«

To rzekłszy wyrwała swoję rękę z mojéj, i zniknęła.

Przez chwil kilka stałem jakby piorunem rażony, przysłuchując się odtętnieniu kroków mojéj czarodziejki, które coraz bardziéj słabnęło.

Przyszedłszy do opamiętania, chciałem wyjść z pokoju, ale drzwi były zamknięte. Na moje silne kołatanie drzwi się otwarły zewnątrz, a czarno ubrany mężczyzna, w którym poznałem lekarza, przystąpił ku mnie.

Teraz się dowiedziałem, że dom, w którym mnie złożono, jest w pobliżu naprzeciw owego miejsca, gdziem leżał bez zmysłów, że służba tego domu, odwdzięczając mi grzeczność moję dla kobiét, podniosła mnie z ziemi i złożyła na sofie, wezwawszy lekarza ku méj pomocy.

Dawszy sługom po gwinei i nagrodziwszy lekarza, wyszedłem na ulicę błąkając się długo po Londynie, ażali gdzie nie spotkam mojéj nieznajoméj. Nareszcie z-trudzony na ciele i duszy, zaszedłem do mego pomieszkania, gdzie mnie Armstrong oczekiwał.

»Cóż ci się wydarzyło?« zapytał, widząc mnie padającego bezwładnie w poręczowe krzesło.

Wszystko mu opowiedziałem. Armstrong przysłuchiwał się z uwagą. Gdy skończyłem ozwał się w te słowa:

»Teraz kolej na mnie. Ja nie spotkałem się z pięstukiem, a przeto więcéj wiém od ciebie. Wiészże, dla czego ta dama tak spiesznо opuścić cię musiała?«

»Proszę cię, nie żartuj sobie ze mnie!«

»Oto dla tego, że za chwil kilka idzie za mąż.«

Na te słowa jak szalony skoczyłem z krzesła, a porwawszy Armstronga za barki, zawołałem: »Na Boga! Ty kłamiesz.«

»Idzie za mąż, powiadam tobie. Kupcowa

w owym sklepie, gdzieśmy ją spotkali, wszystko mi opowiedziała.«

I tak było w samej istocie. Tenże sam mężczyzna, który w pałacu Sommerset prowadził moję nieznajomę pod ramię, zawierał z nią w kaplicy ś. Tomasza małżeńskie śluby!

Pospieszyłem do kaplicy, państwo młodzi wracali od ślubu tuż poprzedemnie, pan młody dumny i wesoły, panna młoda blada i troskami znękana. Mój przyjaciel litował się nad niedolą moją. Powróciłem w gorączce do domu, którego dla choroby przez cały tydzień opuścić nie mogłem. Przyszedłszy cokolwiek do zdrowia, rzekłem do przyjaciela: »Londyn jest dla mnie miastem obmierzłém, jedźmy do Francyi!«

»Dobrze, jedźmy,« odrzekł mój przyjaciel.

Poczyniono jak najspieszniéj wszelkie przygotowania do podróży. Gdyśmy do Krigs-town przybyli, jużeśmy nie zastali pocztowego statku. Czekaliśmy więc aż do następnego wieczora.

Noc była okropna. Grzmoty, błyskawice i nawalna burza, wszystko połączyło się razem. Walka rozdziczałych żywiołów wtórzyła zgodnie mojéj duszy. Wyszedłem więc na brzeg Krigstown, aby się temu spaniale-groźnemu widokowi przypatrzyć. Jak daleko oko sięgnąć mogło, widać było tylko niebo czarnym chmur całunem obwieszone, kiedy niekiedy jarémi pochodniami błyskawicy rozjaśnione. Na otwartém morzu dostrzedz było można, że jakiś okręt walczył z rozhukanémi falami. Bałuch tętniącego grzmotu mieszał się z głuchémi wystrzałami dział, które o pomoc wzywały. Niedaleko odemnie na pochyłéj skale stało kilku odważnych ludzi, którzy dla ratowania rozbitów, barkę do wody spuścić chcieli. Jeden z nich, który innym zdawał się przewodzić, pośliznąwszy się spadł w morze, i już się nie pojawił z wrzącego grobu.

Towarzysze jego tym wypadkiem strwożeni, zaniechali swego zamiaru. Znaki okrętu wołające o pomoc, były coraz częstsze. Wtedyto przesyt życia podał mi myśl, pospieszyć na pomoc nieszczęśliwym. Przystąpiłem do poblizkiéj barki i rzekłem do potrwożonych rybaków: »Przyjaciele! Moje ramię jest silne i umié pruć nurty morskie. Odważnie więc! Okręt wzywający pomocy walczy jeszcze z wściekłémi żywiołami. Jeszcze czas! Śmiało, a Bóg dopomoże!«

Lecz w téjże chwili, kiedy to mówię, ustaje odgłos dział, i okręt tonie. Osada napełnia spiesznо szalupę, a oddalając się od tonącego okrętu, zdąża ku brzegom Krigstownu. Na wołanie nasze odbiéramy odpowiedź, lecz wkrótce umilka odezwa, szalupa znika nam z-przed oczu i tonie w morskich głębinach. Z przerażeniem spoglądaliśmy w milczeniu na siebie. Tymczasem dopłynęliśmy naszą łodzią do przodu zatoniętego okrętu, wkrótce wynurzył się szyja z wody, a na niéj ujrzeliśmy dwie osoby z widoczną walczące śmiercią, których odbijająca pomieścić nie mogła szalupa. Wziąwszy je do naszéj łodzi, przybiliśmy do brzegu śród oklasków mieszkańców, których widowisko nawalnéj burzy na brzeg sprowadziło.

Témi rozbitami byli Portugalczyk i jego siostra. Gospodyni domu zajęła się młodą dziewczyną, ja zaś przyjąłem do mego pomieszkania Portugalczyka, który wdzięczność swoję w najczulszych wyrazach oświadczał.

»Nieraz klałem angielskiemu imieniu,« rzekł nieznajomy, »ale teraz błogosławię mu.«

»Jako, klałeś naszemu imieniu?« zawołał Armstrong z oburzeniem.

»Darujcie mojéj otwartości,« odparł cudzoziemiec. »Tę samę dziéwczynę, którąście od śmierci uratowali, czekał w kraju waszym los okropniejszy, niż to straszliwe rozbicie okrętu. Nie weźmiecie za złe bratu téj nieszczęśliwéj dziewczyny, że aż do téj chwili z całém oburzeniem braterskiém nienawidził Anglików. Ale teraz, kiedy staliście się zbawcami naszymi, przyjmcie wdzięczność naszę za poświęcenie się wasze w sprawie ludzkości!«

Ciekawość naszę, którę w nas te słowa tajemnicze obudziły, zaspokoił sam cudzoziemiec, zacząwszy opowiadać przypadek téj nieszczęśliwéj dziewczyny. W saméj istocie, historyja siostry Portugalczyka nie była wypadkiem zwyczajnym.

Pewien Anglik zakochał się był w mieście Porto w téj młodéj Portugalce, lecz w kilka miesięcy po ślubie opuścił ją, a sam udał się na podróż. Biédna oszukana zwidziła wraz z swoim bratem Hiszpaniję, Francyję, Niemcy i Włochy, szukając śladu nikczemnego wiarołomcy, ale nadaremnie. Według niektórych wieści miał on znowu przebywać w Anglii, a biédna opuszczona żona, miała się udać do tego kraju.

Gdy nam Portugalczyk tych wiadomości udzielał, gospodyni domu wbiegła zmieszana do naszego pokoju.

»Czy moja siostra chora?« zapytał cudzoziemiec powstając z krzesła strwożony.

»Ach, nie o tém teraz mowa! Tu na dolném piętrze mieszka dama, która chociaż nie doznała rozbicia okrętu, daleko więcéj może ucierpiała! Wczoraj tu przybyła, chciała odpłynąć, lecz nie zastała statku pocztowego. Słuchajcie-no państwo, co tam się dzieje!«

W saméj istocie słychać było jakąś głośną,

popędliwą rozmowę. Zbiegliśmy na dół, a krzyk się powiększył. Uderzywszy silnie nogą, drzwi otworzyłem i ujrzałem na pół obnażoną klęczącą kobiétę, a nad nią stał mężczyzna wołający groźno: »Pani musisz ze mną odjechać, inaczéj użyję przemocy, jesteś moją własnością.« Zaledwie rzuciłem okiem — o wielkie nieba, jakiż widok mnie uderzył! Byłato piękna narzeczona z kaplicy ś. Tomasza, a mężczyzna — ten sam, któregom widział przy niéj w pałacu Sommerset.

Armstrong postrzegłszy jakie wrażenie ta scena na mnie zrobiła, chciał mnie do przybocznego uprowadzić pokoju. Ale piękna nieznajoma nie dozwoliła mu tego, rzuciła się w moje ramiona i zawołała rozdziérającym głosem:

»Nigdy, przenigdy nie będę żoną jego! Zmuszono mnie do ślubu, moję matkę oszukano, o, weź mnie pod swoję opiekę!«

Nieznajomy trząsł się z wściekłości. Ja zachowałem wszelką przytomność umysłu, sam Armstrong nie mógł swojéj zimnéj krwi zachować. Oczy małżonka padły na kuferek, przyskoczył ku niemu, chwycił za pistolety i wymierzył je ku moim piersiom, lecz w téjże chwili Armstrong wytrącił mu broń z ręki, a Portugalczyk uchwyciwszy go za gardło, zawołał z wściekłością:

»Potworze, czy mnie poznajesz?!«

Z osłupiałém okiem, z otwartémi usty, wpatrzył się nieznajomy w Portugalczyka i padł na ziemię jakby gromem uderzony. Byłto mąż téj młodéj w Porto opuszczonéj kobiéty, a szwagier [illegible]ita.

Zbrodnia ta powiodła go przed kratki sądowe. Nim miesiąc upłynął, ta młoda dziewczyna, któréj portret tak niewymownie zachwycił moję duszę — oddała mi swoję rękę.

Chwila snu.

Witaj snie, witaj! — znużone oko
Przykryj na chwilę martwą powieką,
Ukołysz duszę w senność głęboką,
Zasłoń snów chłodem przed życia spieką!
Uspij tę głowę — niech się wywinie
Z niéj myśl ma wolna z świata więzienia,
Na twojém skrzydle niech wolno spłynie
Na ziemię mar sennych, ziemię złudzenia!
Tam ona Bogiem, — jednem skinieniem
Utwarza wiosny — burze — pogodę,
Jednem ognistém zapala tchnieniem
Światy, stworzenia, całą przyrodę, —
Tam wolno buja, jak promień jasny
Śmiało przelata nad wszystkie krańce,
Świat wybuduje bez końca własny,
I na swą ziemię świętość wywoła.
W niéj człowiek anioł z sercem anioła,
Prawda i miłość mieszkańce —
Tylko snie błogi niezdradź nadziei,
Wyrwij mą duszę z życia zawiei,
Sprowadź w krainę uroczych snów,
Pozwól pobujać w krajach marzenia,
Wytchnąć na chwilę, — wszak jutro znów
Porzucić musi nocne widzenia
I na żywotną zbudzić się jawę,
Wpatrzyć się znowu w obrazy — trudy,
Dzikie — prawdziwie światowe — krwawe!
Bo chwilą szczęścia, chwila uludy!!

Apolinary H....

Słowo o »Tajemnicach Paryża.«

»Revue des deux mondes« zawiéra w swoim styczniowym poszycie następujące ocenienie znanego teraz powszechnie romansu p. Eugenijusza Sue: »Niebyło czasu, któryby sprzyjał więcéj rozwinięciu romansu jak czas obecny, i przed niewielu jeszcze laty wróżył nam romans w istocie najpiękniejsze nadzieje; ale dwie namiętności go zabiły: chciwość i próżność, czyli mówiąc wyraźniéj: żądza pozyskania pieniędzy i narobienia wrzawy. Dodatek: ***Feuilleton,*** którego załączanie paryzkie dzienniki za potrzebne uznały, przywiódł mianowicie poetów do upadku; ***Feuilleton*** bowiem karmi się i żyje tylko improwizacyją, improwizowane zaś dzieła sztuki są potwory. Ztąd poszło, iż romans coraz niżéj upadał, a z takiego płochego i zatrutego spółku poety z Muzą, takie też tylko płody się wyrodziły, które już w swoim zarodzie jad i śmierć miały. Nareszcie przyszło do tego, że samę szczérą truciznę pod pięknym napisem przedają, że w masce moralisty rozwiązłym i wyrzutkiem być można, że nareszcie jako ostatni środek: Merciera i Retifa de la Bretonne z ich śmierci zapomnienia wskrzeszono.

Retif był piérwszym, który najniższą klasę paryzkiéj ludności na scenę wyprowadził i widownię swego romansu pod moralnym pozorem na plugawe miejsca przeniósł. Retif był piérwszym który to bezwstydne i chytre zdanie rozgłosił: że kobiéta może nisko upaść cieleśnie, a przecież czystość duszy zachować; może się do sytu hańbą napajać, a przecież dziewicze serce utrzymać. Jednakże twierdzą ludzie, którzy znali Retifa, iż mimo niemoralności swoich pism, byłto człowiek poczciwy, że się plamił niewiedząc o tém, i że w najuczciwszym zamiarze kał rozruszał.

»Mercier ustroił się podług najnowszéj mody 19. wieku; szkoda że tylko swoje przekonanie w grobie zostawił. Bo co Retif ze źle zastosowanego instynktu, Mercier zaś ze źle zrozumianéj filantropicznéj gorliwości czynili, to my w daleko podlejszym i niegodziwszym celu, w celu rozdraźnienia ciekawości czytelników czynimy. Ale dla tego téż prześcignęliśmy o tysiąc mil obudwóch; ich bowiem pisma nie pachnęły tak domem poprawy, nie woniały tak jaskiniami prostytucyi, jak nasze. Owszem, uczyniliśmy jeszcze postęp i w innym względzie, który o wiele znaczniejszy od poprzedniego: podczas gdy rozgartujemy namuł, który na spodzie każdéj naprzód posuniętéj cywilizacyi osiada, podczas gdy z upodobaniem wrzody ludzkości odsłaniamy, a tu i owdzie obraz obmierzliwéj rozpusty wtrącamy, śmiejemy się serdecznie w duchu, że nas na słowo za filantropów i moralistów mają! Bo rozpusta ośmnastego wieku była przynajmniéj szczérą. Wdając się z Crebillonem lub Diderotem, wiedziałeś od razu, czém cię częstują. Dziś przebrane zepsucie wszędzie się wkrada, tylko się filantropiją uperfumowało i bierze paszport, aby nigdzie od policyi przytrzymaném nie było. Faublas stał się Tartuffem, i mocno się u pana Orgona zagnieździł.

»Balzac i George Sand nie pojmowali jeszcze siły pewnego miejscowego kolorytu, nie rozumieli języka złodziejskiego. Język ten wydobyty z najobrzydliwszych miejsc od złoczyńców, zbójców i publicznych nierządnic, język stawiący nam przed oczy najsmutniejszy widok jaki na ziemi znaleść można, zbrodnię na jéj najniższym stopniu, t. j. na stopniu szydzenia z ludzi, ten język został przyjętym do romansu. Używał wprawdzie i Molière narzecza ludu z jego poetycznymi barbaryzmami, z jego uderzającymi obrazami, ale dopiéro czas obecny mógł przeskoczyć niezmierną odległość aż do tych ze krwi i błota ulepionych utworów. Barbarzyńcy wtargnęli do państwa sztuki i zdobyli tron jego; ich łachmany purpurą, ich złodziejski język poezyją! Jeżeli czytelnik rad z tego, że zaraz na piérwszéj stronicy w najbrzydsze brudy wleźć może, tedy zasługuje na podobne obejście; umnictwo jednak powinno się takiemu znieważaniu oprzéć wszelkiémi siłami. Mimo wszelkich zdrożności nie zasłużyła sobie Muza na to, aby ją tak sromotnie chłostano; i żaden trybunał nie byłby ją skazał na takie zhańbienie.»

»Przy największéj wprawie ochronnego wysłowienia, nie podobna opowiedzieć w dobrém towarzystwie niektóre sceny z naszych romansów, niechcąc rumienić płci pięknéj. Niktby téż nie śmiał wszczynać takich opisów, lub gdyby zaczął, pewnieby ich nie skończył. Jakże więc śmiecie pisać i waszém nazwiskiem podpisywać, czego mówić nie śmiécie? Jakim sposobem dzieje się, iż osoby, któreby piérwszego słowa bez zarumienienia nie wysłuchały, któreby wam przy drugiém, milczenie nakazały, mogą was czytać z spokojném czołem i nie rumieniąc lica? Tém wyrzekliśmy tylko pochwałę naszych obyczajów, ale nie nasze własną. Wiek nasz moralniejszy od swoich ludzi. Jeżeli przedtém można się było jeszcze sprzéczać o to zdanie, niesłychane oklaski, z jakiemi przyjęto książkę pana Sue, uczyniły teraz zdanie to niezachwianém.

»Eugenijusz Sue był pisarzem, kreślącym lekką ręką zgrabne obrazy z dziejów i społeczeństwa. Miał wprawdzie niejaką skłonność ku paradoxom i dziwactwu, lecz pisma jego, chociaż bynajmniéj nie arcydzieła, bawiły nas przyjemnie i rokowały piękne nadzieje. On sam nierozważnie spełnienie tych nadziei zniszczył. Największy talent posiada między swojémi własnościami jakąś własność podrzędną, a ta, jeżli się tylko nié ma pilnéj baczności na nią, zniża i szlachetniejsze własności ku sobie. Mierny talent miéwa zwykle między swémi wadami jednę przeważającą, która mu niejako właściwsza być się wydaje; otoż i ta się stara osiągnąć panowanie nad resztą. Taką wadą u pana S[illegible] był mocny pociąg do prostackich zmysłow[illegible] obrazów. W »Matyldzie« był się nieco [illegible] mił w porównaniu ze swemi poprzedni[illegible] łami, lecz teraz przerwał już wszelk[illegible]

»Paryż ze swojém tysięczno-posta[illegible] ciem, byłby pisarzowi obdarzonemu [illegible] i głęboką rozwagą, któryby odgadł ta[illegible] jak to osobliwsze towarzystwo czuje i myśli, nastręczył dostatecznego materyjału do najtrafniejszych, najdziwniejszych i najgłębszych malowideł ludzkiego bytu i działania. Jeźli zaś autor, zamiast zajrzéć temu społeczeństwu i w oczy i w serce, zamiast badania tajemnic jego sposobu myślenia i czucia: w salonie, w izbie, w gabinecie filozofa, w sklepie i rzemieślniczym warstacie, — coby przecie najrozpasańszą ambicyję zadowolnić mogło — jeźli sobie zamiast tego upodoba kreślić w najdrobniejszych szczegółach życie nierządnic i złodziei, wtedy wypisuje on swoję książkę z wielkiego żurnalu policyjnego biora, i zamiast tajemnic Paryża odkrywa nam tylko tajemnice zbrodni i hańby. Mamże jednak szczérą prawdę powiedzieć? Gdyby jaki znakomity poeta, posiadający oraz delikatność i czyste uczucie moralisty, był pomienione dzieło napisał, ręczę, żeby go przy piér-

wszem pojawieniu nie przyjęto z podobnem uniesieniem jak dzieło pana Sue. Przyczynę tego mamy na dłoni. Jeźli tylko o poklask gminu chodziło — obrano najstosowniejszą drogę. Chcecie zbyć sto tysięcy egzemplarzów opisu waszej podróży, — stańcie się tylko Kolumbem jakiego świata brudów.

»Że osnowa tajemnic Paryża z góry już nie tylko nieprawdopodobną ale owszem wyraźnie niedorzeczną i w gruby sposób, który ani na sztukę ani na czytelnika nie zważa, jest zlepioną, tego nie potrzebuję dopiéro przypominać; byłoby to bowiem prawie obrazą czytelnika, który przecie jeszcze do ostatniéj wielkiéj gawiedzi nie należy. Lecz i malowanie charakterów jest zupełnie chybione.

»Wstydliwość pióra — a nie używam bynajmniéj tego wyrazu w celu okazania się świętoszkiem — dziewicza wstydliwość pióra jest u pisarza, który maluje namiętności i w ruch je wprawia, oznaką siły. Romansopisarz uchyla tylko wtedy zasłony, gdy mu już nie stanie środków do malowania uczuć. Jeźli swoję własną sprawę zdradzi i do obozu zmysłowości przejdzie, może być iż chwilową nagrodę zyska, lecz kary swojéj zdrady pewnie nie ujdzie. Może zostać niezłym malarzem ciała, lecz malarzem duszy nie będzie. Dwom panom nikt służyć nie podoła. Dla tego jest dzieło pana Sue za nadto i znowu za mało prawdziwe, dla tego jest ono zlepiskiem odrażających rzeczywistości i zgromadzeniem fantastycznych postaci.«

»Że nieszczęśliwa Fleur-de-Marie nie jest jeszcze wszelkiego zarodu cnoty pozbawiona, że czasem płacze, to można łatwo pojąć; ale oczywiście niepodobna, aby dziewka najpodlejszego motłochu, skalana plugawémi zalotami, pijąca cały dzień wódkę z zbójcami, łotrami, hultajami, z którymi się jak z swoimi poufnymi przyjaciołmi obchodzi, była doskonałym wzorem niewinnego wdzięku i powabnej wstydliwości. Toby znaczyło wyraźnie rozłączyć duszę od ciała; piękne, zaiste, sofizma! A do tego nie może jeszcze pan Sue przenieść na sobie, aby nam najmniejszéj drobnostki z życia swéj bohatérki darował! Jaskinia w któréj mieszka, goście, których przyjmuje, wszystko tam z dręczącą wyrazistością opisane! A Fleur-de-Marie mieszka tam sobie, bo się jéj tak podobało, dostała się tam, bo przeniosła tę hańbę nad mierną pracę. Oddała się stręczycielce prawie bez najmniejszego oporu, a jakby łatwo mogła się była z-tamtąd ratować, widzimy na przykładzie Rigoletty, która ściśle w tych samych co ona stosunkach zostawała. Gdybyż więc była jeszcze zbłądziła upojona miłością, zaślepiona, zwiedziona! Gdyby to jeszcze był upadek Eloy! Nie, sprzedaje się z krwią zimną, za czas do próżnowania i za kawałek chleba. Bądźmy, jeźli chcemy, pobłażającymi, nie obarczajmy ją naszą wzgardą, żałujmy jéj; — lecz obiérać ją sobie za bohatérkę, składać jéj hołdy moralne — wstydź się panie Sue! że to w nas wmówić chciałeś!

»Nie będziem zajmować się dalszym rozbiorem charakterów w szczególności. Sue nie zna żadnych odcieni w malowaniu charakterów, kréśli tylko same extremy. Lecz towarzystwo samych aniołów albo diabiów jest niedorzecznością na ziemi.

»Najpiękniejszym ustępem, chociaż zawsze zbyt jaskrawo koloryzowanym, jest historyja familii Morel; czém bardziéj wszakże nas zajmuje i wzrusza, czém bardziéj obchodzi nas los wyrobnika i ubogiego, tém mocniéj odraża nas sama książka, która kompromituje sprawę, chcąc jéj bronić, która, jeźli można zaszkodzić filantropii, najboleśniejszy cios jéj zadaje, podnosząc jéj chorągiew.

»Sue posiada nadzwyczajny talent obrazowania, i to jest właściwą jego zaletą, ale za to staje się styl jego coraz niedbalszy i błędniejszy. To zadziwiające skoropisanie dzisiejszych literatów przywodzi mi niekiedy na myśl Jana Jakuba Rousseau, który ze swoich długich przechadzek przynosił często zaledwie dwa albo trzy okresy, które jeszcze ze sto razy w głowie przerabiał, a którym często dopiéro w natchnionych bezsennych nocach ostatnie dawał uświęcenie; albo przypomina mi owę marmurową płytę, na któréj Bossuet zwykle nogę opierał, kiedy dumał lub pisał, aż nareszcie w niej dołek wyżłobił.

»Główna myśl tych *Mystères de Paris* odpowiada doskonale swojemu wykonaniu: jest to też paradoxon, antisocyjalne, pseudofilantropijne sofizma. Jakiż tedy skutek tej książki —? — Oto, zepsute umysły znajdą w niéj pożądaną strawę, antisocyjalnym marzycielom nastręczy ona broń przeciwko społeczeństwu, dla prostych zas i niewinnych serc jest ona nętą, która mistyfikując je, zgubą im grozi. A jeżeliż rzecz tak się ma w istocie, nie byłoż dla nas powinnością wyrażenie zdania naszego otwarcie?

»Ale nié ma złego coby na dobre nie wyszło. Tajemnice Paryża mają przynajmniej tę zasługę, iż zadały śmiertelny cios romansowi feuilletonowemu; nagła choroba wyrugowała słabość chroniczną. Ale nie idzie zatem aby: co się jednemu powiodło, poszło i drugiemu w pożytek; dla tego téż przekopijowane i naśladowane przez Balzaka i Souliégo *Mystères de la Province* przeszły bez najmniejszego śladu. Owszem całe nawet pseudofilantropijne romansopisarstwo kres swój osiągło; a tak bezczelnie uwodzona publiczność musi przecie raz oczy przetrzéć, literatura może na nową drogę wstąpić, może na drogę smaku i moralności powrócić. Kto się czuje na siłach, temu nowy zawód otwarty i czas ma po temu, prawdziwą sławę pozyskać.« —

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 11. i obejmuje: 1) Jeszcze słów kilka o użyciu kwasu siarczanego w braku siarczanu wapna pod rośliny pastewne i strączkowe; przez J. Żywickiego. 2) O czém teraz myślić? rozprawa pana Fr. Walickiego. (Dokończenie.) 3) O chowie krów wołoskich w Galicyi. 4) Sposób robienia sera, równającego się najlepszym zagranicznym. 5) Uwagi hr. Karsnickiego nad wstępem do tegorocznego Tydodnika. 6) O sposobie uprawiania ziemiopłodów bez oborniku, wynalezionym przez pana Fr. Hen. Bickes w Moguncyi. 7) Towarzystwo przeciwko męczeniu zwierząt.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 6. i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Kilka podróży, przez Dominika Magnuszewskiego. (Dokończenie.) 2) Ona i ja, wiersz. 3) Myśli o wychowaniu kobiet, przez Eleonorę Ziemęcką. (Dokończenie.) 4) List z bajeczką: Konie i koniki. 5) Maleńki odłamek z historyi mojego nosa. 6) Nowości literackie.

Biblioteka Warszawska na miesiąc styczeń 1844 zawiéra następujące artykuły: 1) W Tacytowéj Germanii są piérwsze, pewność w sobie mające ślady dziejów Polski i Litwy, przez Wacława Alexandra Maciejowskiego. 2) O świetle, mowa prof. Ludwika Moser, miana na posiedzeniu Towarzystwa fizyczno-ekonomicznego w Królewcu. 3) Z poematu oryginalnego »Bogdan« przez

J. Paszkowskiego, scena przedwstępna. 4) Zemsta pana Bolesława, powieść J. Dzierzkowskiego. 5) Czy *socius unius rei* także tylko *in id quod facere potest* skazany być może? przez dokt. Karola Bachmana. 6) Rozmaitości. 7) Kronika literacka. 8) Kronika zagraniczna. 9) Kronika bibliograficzna. 11) Dostrzeżenia meteorologiczne za listopad 1843.

Z Poznania. Wyszły tutaj następujące dzieła: *Muzamerit, czyli powieści przy świetle księżyca*, przez L. S. w 2 tomach (przypisane pani Klementynie z Potockich Miączyńskiéj. Dziełko to zawiera 17 powieści, (z których niektóre już dawniej w naszych Rozmaitościach, w Dzienniku mód paryzkich, oraz w innych pismach czasowych umieszczone były) odznaczających się zajmującą swą świeżością i cudnym urokiem, co im słusznie nadaje pierwszeństwo pomiędzy powieściami w języku polskim pisanemi. — Myśli w samotności, przez A. z K. W. de Routa (sąto poezyje kobiety). — Sposób ułatwiający naukę chronologii, zastosowany mianowicie do chronologii królów i sławniejszych dziejów polskich w wierszu krakowiakowym, przez F. J. Z. S. — Filozofija ekonomii materyjalnej ludzkiego społeczeństwa; część I. — Konstanty Jarnowski, były profesor w Heriots-Hospital w Edymburgu, wydał w Poznaniu: Ułatwiającą gramatykę angielską, zawiérającą w sobie najpotrzebniejsze reguły z dołączeniem ćwiczeń. — Tamże opuściły prasę drukarską także: Przetor do rozgmatwania plemion osiedzibiających Sarmacyją i Germaniją starożytną przez Tomickiego (Jędrzeja Moraczewskiego). — Dzieła Tadeusza Czackiego, zebrane w 3 tomach i wydane przez hr. Edwarda Raczyńskiego. (Dotychczas wyszedł tom I., obejmujący rozprawę: O litewskich i polskich prawach z dołączonemi wizerunkami dawnych monet polskich.) Ż...

Geografija Cammerera z r. 1823 podaje powierzchnię ziemi na 9.282,600 mil kwadr., z których 6.882,600 na morza, a 2.400,000 na lądy przypada. — Z tych zawiéra ląd Europy na przestrzeni 170,000 mil kwadratowych 180 miljonów ludności, ląd Azyi na przestrzeni 700,000 mil kwadr. 300 milj. ludności, ląd Afryki na przestrzeni 530,000 mil kwadr. 75 milj. ludności, ląd Ameryki na przestrzeni 800,000 mil kwadr. 40 milj. ludności, a ląd Australii na przestrzeni 260,000 mil kwadr. 5 milj. ludności, razem 600 milj. ludności na przestrzeni 2.400,000 mil kwadr. Podług tego wyrachowania wypada w przecięciu 250 ludzi na jednę milę kwadratową, a w tym samym stosunku powinnaby mieć Europa ludności 42.500,000, rzeczywiście zaś ma więcéj o 137.500,000; Azyja powinnaby mieć 175 milj., rzeczywiście zaś ma więcéj o 125 milj.; Afryka powinnaby mieć 132,500.000, rzeczywiście zaś ma mniej o 57 milj.; Ameryka powinnaby mieć 200 milj., rzeczywiście zaś ma mniej o 160 milj.; Australija powinnaby mieć 50 milj., rzeczywiście zaś ma mniej o 45 milj. Gdyby więc ludność ostatnich cztéru części świata w rówoym stosunku z rzeczywistą ludnością europejską (180 milj. ludu. na 170,000 mil kwad.) obrachować, tedy wypadałoby na Azyję 741 milj. 176,470, na Afrykę 561 milj. 176,470, na Amerykę 847 milj. 58,823, na Australiję 212 milj. 764,705 — czyli suma ogólna 2541 milj. 176,468. Odliczywszy nawet przeszło połowę téj sumy czyli 1341 milj. 176,468 na zimne i gorące podniebia, zostaje jeszcze 1200 miljonów. Z czego się okazuje, iż ludność ziemska może jeszcze o 600 milj. się powiększyć, bez obawy zbytniego przeludnienia, gdyż przy takiém rozmnożeniu musiałoby nastąpić konieczne uprawienie wielu niezamieszkałych dziś obszarów, pustyń i dziewiczych lasów, a przeto i wiele zimnych dotąd stref łagodniejszyby klimat otrzymało i glebą urodzajnąby się stało. — Ile zaś ludzi przy pilności i pracy na szczupłéj przestrzeni żywić i dobrze mieć się może, przekonuje nas niemiecka kraina palatynatu. Rozległość jéj wynosi około 130 mil kwadr. z 390,000 ludności (obecnie jeszcze więcéj), zatém 3000 dusz na 1 kwadr. milę; gdy Europa jako najwięcej zaludniona część świata, w ogólności tylko 1058 14/17 ludzi na jedną kwadr. milę zawiéra.

Łowienie przypiórek w Morei. W swoich rocznych wędrówkach ze wschodniéj Europy do Afryki obiérają przypiórki drogę na Moreę, zkąd odległość do Barki w Afryce jest najbliższą. Na południowym przylądku półwyspy skupiają się owe podróżne roje, które przez lato dalekie przestrzenie półnoeniejszych okolic zalegały. Mieszkańcy tego przylądku wiedzą już porę, kiedy przypiórki nadlatują. Długi czas naprzód oznacza każdy rozległość, na któréj zamierza łowić te ptaszki. Kobiety naczerpują morskiéj wody do cebrów i leją ją w skalne wydrążenia. Woda ulotnia się a sól usiada. Kiedy przypiórki tu przybywają, odbyły już długą podróż i są znużone. Najtłuściejsze i najsłabsze siadają na wybrzeżu aby sobie odpocząć, leksze lecą daléj przez morze. Łowcy nie potrzebują ani prochu ani sieci. Zbiérają setkami i tysiącami omdlałe ptaki. Kobiety i dzieci skubią je, czyszczą, myją je w wodzie morskiéj, suszą na wietrze i nasalają solą morską, którę już mają w pogotowiu. Poczém ułożone w beczułkach jak śledzie, bywają wysyłane na wybrzeża mało-azyjskie, gdzie bardzo poszukiwany towar stanowią. Ysabeau, który to opowiada, czyni przy tém uwagę, iżby się przypiórki, dla swéj płodności i swego smacznego mięsa, bardzo użytecznym drobiem stać mogły, i żeby warto było zająć się ich przyswojeniem. Tenże sam pisarz twierdzi, żeby jeszcze wielkie zdobycze dały się zrobić w państwie zwierzęcém. Tak radzi na seryjo oswoić strusia [illegible] go łatwo pod siodło. Usiąść na siebie pozwoliłby ptak ten, ale cała trudność jak nim zakierować? Przy częstém jednak doświadczaniu i toby się może ułatwić dało.

Ofiara leczenia wodą. Licznym zwolennikom léczenia wodą nie możemy zataić wiadomości, iż znany angielski polityk Burdett, który niedawno umarł, padł ofiarą kuracyi wodnéj. Pewien hydropata londyński wmówił w niego, że tylko wodą zdoła się wyléczyć od podagry, przezco stał się Burdett najgorliwszym czcicielem wody, i do tego stopnia swoję wiarę w ten rodzaj leczenia posnwał, iż nawet owinięty mokremi chustami na konia wsiadał. Tak więc co można było przewidzieć, stało się: choroba rzuciła się na części wnętrzne, a Burdett — umarł.

Dziwactwo Anglików. W przeszłym wieku było wielu klubów w Londynie, z których jeden z samych otyłych osób się składał. Pokój, w którym się zgromadzono, miał dwoje drzwi; jedne były wązkie, drugie zaś obszerne podwoje. Jeźli się który kandydat w pierwsze drzwi zmieścił, tedy go jako niezdatnego nie przypuszczono; jeźli zaś uwiązł, tedy otwiérano oba skrzydła drzwi drugich i przyjęto go w poczet braci.— Inny klub składał się z samych chudych osób.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.